



WIARUS

PISMO DLA ŻOŁNIERZY POLSKICH
WYDAWANE PRZEZ KOMISYĘ WOJSKOWĄ.



Rozkazy księcia Józefa.

Książę Józef Poniatowski, sam żołnierz z krwi i kości, znał, jak nikt może, wszystkie zalety i wady żołnierza polskiego i umiał do niego przemawiać właściwym językiem. Dlatego i dziś, choć już 104 lata minęły od jego bohaterskiej śmierci w bitwie pod Lipskiem w nurtach Elstery, warto przypomnieć sobie jego rozkazyienne, jego słowa o powinnościach żołnierza polskiego wobec Ojczyzny, wobec rodaków, w służbie wewnętrznej i w boju. Zmieniły się od jego czasów radykalnie warunki walki; żadnej natomiast zmianie nie uległy pojęcia o tem, do czego obowiązuje zaszczyt noszenia munduru żołnierza polskiego, jakie serce pod nim bić powinno.

„Z powstaniem narodu, sławnego w dziejach cnotami wojennymi—mówił ks. Józef do żołnierzy w chwili, gdy Napoleon stanął na ziemiach polskich i za warunek wskrzeszenia Ojczyzny naszej postawił nasamprzód stworzenie licznego wojska narodowego, które miało dowieść, czy polacy zasługują na niepodległość — wskrzesza się i męstwo starożytne... Starajcie się przekonać pierwszego bohatera świata (Napoleona), że naród, który srogię prawo mocniejszego usiłowało wymazać z karty Europy, jest godzien jego trudów i opieki”. „Jeszcze pod obcym zostawaliście rządem i nosić imię polaka prawie nam za winę poczytywano—dodawał w dwa lata później, oceniając z dumą wysiłki ówczesne—kiedy odgłos zwycięstw Napoleona, budząc w sercach waszych odwieczne sarmatów męstwo, dowiódł, że żadne względy zastanowić was nie zdołają tam, gdzie Ojczyzna jest żądań waszych celem. Nagrodziły Nieba tak świetne dla niej czucia. Wyrzekł pogromiciel nieprzyjaciół waszych, że dozwala wam okazać, czyście jeszcze godnymi mieć sobie Ojczyznę wróconą, a liczne hufce, cudem prawie stworzone, biegły krwią się dokupić straconego przodków imienia. Byt narodowy, (t. j. stworzenie niepodległego państwa polskiego, pod mianem Księstwa Warszawskiego) uwieńczyły okazane cnoty: obrona Ojczyzny, waszej tylko oddana pieczy, stała się cechą mniemania, które zbawca wasz (Napoleon) o polskiej powziął odwadze“.

Dla Ojczyzny znieść należy wszystko. „Gdy mi szczęście zdarza się kolegować tak słusznym oficerom, z przywiązania do kraju znakomitym i znanym, żołnierzom,



wiernym krajowi swemu, odważnym i chciwym zasługiwać na sławę i na wdzięczność narodu, upraszać należy, aby wielka była karność i posłuszeństwo jak największe, a jeżeli się wydarzy nadzwyczajny w czem niedostatek, chcieli cierpliwie znosić dla miłej nam Ojczyzny". „Być w bitwie, oblegać twierdzę, odnieść w walce z nieprzyjacielem rany, albo wpaść w niewolę jest długiem i przeznaczeniem każdego, który się obronie swojej Ojczyzny poświęcił".

Żołnierz jest sługą, obrońcą swego narodu, z którego łona wyszedł, z którego podatków żyje, i dlatego stosunek jego do współobywateli cywilnych, czy to w wojnie, czy za pokoju, winien nosić zawsze znamię życzliwości i związku serdecznego, dlatego gwałt i nadużycia wobec rodaków są jednym z najsurowiej karanych przestępstw żołnierskich.

„Wszyscy jesteście — mówił książę w rozkazie dziennym z dnia 26 marca 1807 r. — dziećmi jednej Ojczyzny; rozróżniamy się obowiązkami, które każdy z nas wedle zdatości i powołania przyjął na siebie, a prawo upoważniło. Żołnierz zasłaniać powinien rolnika, rolnik karmić i przyodziewać żołnierza, a wszyscy szanować się nawzajem. Odwaga i męstwo są piękne cnoty rycerzom własne, ale i hordom barbarzyńskim wspólne. Żołnierz narodów obyczajnych powinien się od nich odróżniać karnością i skromnością, być srogim dla nieprzyjaciół, a ludzkim i łagodnym dla swoich". „Jako każdy nieporządek, każdy eksces lub napaść — mówił w rozkazie z dnia 26 sierpnia 1792 r. — plami charakter żołnierza i czyni go nieznośnym i nienawidzonym w oczach obywatela, który go pracą i staraniem swoim utrzymuje i daje mu sposoby do wygodę życia, przeto Ichmość generałowie będą w odpowiedzi za wszelkie zdarzenia". „Bardzo z wielkiem nieukontentowaniem doszła mi skarga, że korpusy biorą gwałtem podwozy przejeżdżającym i nawet przez długi przeciąg czasu ich nie rozpuszczają. Zalecam jak najsurowiej, pod odpowiedzią komendanta z osoby swojej, ażeby już o takowym ekscesie skarga nie doszła". „Gdy dowiaduję się, że w okolicy 3 mil żadna wieś nie znajdzie się, która by z rozputy towarzystwa, szeregowych, gemejnow i luzaków nie cierpiała, zalecam komenderującemu, pod odpowiedzią ich własnych osób, aby trzy razy na dzień w nierównych godzinach każdy rotmistrz, porucznik lub kapitan kazał komendzie swojej stawać bez broni piechotą i rolę

wszystkich przeczytał, a przynajmniej tym sposobem starał się uwiadomić siebie samego, gdzie się ludzie jego podziwiają. W okolicy całej ogłosić, aby żołnierza, namiestnika lub towarzysza, samego komenderowanego, najmniejszy eksces popełniającego, jurydykcyą dworską, zgromadziwszy chłopów, kazała... wziąć, związać i do głównej kwatery odesłać“.

Książę Józef wiedział dobrze o tem, że w wojsku polskiem łatwiej zawsze o odwagę i poświęcenie w boju, niż o porządek, ład, służbistość, sprawność i punktualność w służbie, zarówno pokojowej, jak i polowej, i dlatego sprawom tym poświęcał zawsze bardzo dużo miejsca w swych rozkazach dziennych.

„Żołnierze!... powróciwszy z Drezna, dokąd pośpieszyłem był pożegnać... (cesarza Napoleona)..., poczytuję sobie za chlubę i powinność powtórzyć wam słowa, które do mnie względem was wyrzekł: (rozkaz dzienny z dnia 4 sierpnia 1807 r.) „Kontent jestem z wojska polskiego; widziałem w nim odwagę i żywość, jest mężne i bitne, ale nie ma jeszcze postawy i ducha wojskowego, nie ma sforności i związku, które są cechą prawdziwych: żołnierzy, lecz które, ufam, nie zaniecha im nadać dzielna zwierzchność i pokój“. Żołnierze! dokazaliście na polu dosyć dla zjednania sobie sławy u tych, z którymi bój wiedliśmy; ale nie dosyć dla samych siebie i dla sławy Ojczyzny, wymagającej od nas oprócz cnót wojennych: jedności, porządku, karności i posłuszeństwa. Największy wojownik świata i wieków Napoleon Wielki pochwalił co w względzie wojennym dobrego u nas ujrzał; ostrzegł, czego nam nie dostaje. Ciesząc się chwałą, nie wypuszczajmy z pamięci jego napomnienia, zebyśmy przyswojeniem sobie, co nam do zupełności powołania brakuje, mogli sobie zasłużyć u niego na chwałę obszerniejszą i stanąć w liczbie wojsk, jakich potrzebują rządy krajów, ludzkość i rozsadek“.

Stosunek przełożonego do podwładnego określał książę Józef bardzo humanitarnie, będąc prawdziwym ojcem swoich żołnierzy, pragnąc wydobyć z nich wszystko raczej odwołaniem się do ich ambicyi i przywiązania, niż przymusem. „Nie wątpię — mówił w rozkazie z dnia 26 sierpnia 1791 r. — iż lichmość generałowie i brygadyerowie starać się będą zyskać zaufanie i przywiązanie żołnierza powierzonych sobie brygad, ażeby przez to dezercyi zapobiegać, nie być przyczyną do nieukontentowania i wielorakim stąd nieprzyzwoitościom lub przesadom nie dać przystępu; dla-

czego zechcą często rozmawiać z prostym żołnierzem, a to, otwarcie, z wszelką przyzwoitą dobrocią i o wygody jego troskliwością;—wystawiać mustan jego pod kolorami najpochlebniejszymi, cieszyć i chwalić trudy jego, obiecywać mu dobre czasy, a nadewszystko wzbudzić w nim czucie męstwa i honoru. Te są sposoby, którymi generał zyskać może serce żołnierza i zachęcić oficerów swoich do podobnego z żołnierzem postępowania”.

„Bywało po krótkiej musztrze— mówi pamiętnikarz z czasów Księstwa Warszawskiego—książę kazał piechocie postawić broń w kozły, jeździe zaś zsiąść z koni, wchodził pomiędzy żołnierzy, wypytywał ich o rozmaite szczegóły: czy są dobrze żywieni, czy dostają regularnie żołd, czy im czego nie brakuje — i był jak ojciec między działwą, a niejedną legionistą, otrząskany z mordem i pożogą, ocierał teraz łzy rozczulenia. Po półgodzinnej, czasami i dłuższej, rozmowie, brał księżę pod rękę dwóch żołnierzy i wiódł do siebie na obiad“.

(D. n.)

W. Tokarz.

Śpiew do ataku.

*Już się trąby odezwały,
Do ataku dobośz bije,
Idźmy bracia w pole chwały,
Trupem nasz bagnet okryje!*

*Przez stos trupów idźmy razem
Na mordy, rzezie i bitwy:
Torujmy drogę żelazem
Do ukochanej nam Litwy.*

*Europa zadziwiona
Patrzy na ciebie, polaku,
W tobie jej swobód obrona:
Do ataku, do ataku!*

*A co krok, to do niej bliżej,
Uwolń ją z więzów polaku.
Dalej orle wyżej, chyżej,
Do ataku, do ataku!*

*Dalej bracie, dalej, dalej
Naszą drogą, wolną ziemię
Krwia tyranów zalej, zalej,
Wyniszcz ich słuzalców plemię!*

*Ona twoich celów godna:
Wstata sama, sama silna.
Idźmy z bagnetem do Grodna,
A z Grodna pójdziem do Wil-*

[na.

*Gdy wolności nie poznali,
Gardź teraz nimi polaku,
Hejże bracia na moskali,
Do ataku, do ataku!*

A z Wilna z Orłem zwycię-
[skim
*Podniesiesz bagnet, polaku,
By go utkwic pod Smoleń-*
[skiem...

Rajnold Suchodolski.

Rajnold Suchodolski, doktor praw uniwersytetu warszawskiego, znany w początkach powstania listopadowego poeta ludowy, zaciągnął się, jako szeregowiec, do 5-go pułku strzelców pieszych (t. zw. „Dzieci Warszawy“). Dosłużył się tu stopniowo szlif podporuczn., przy czem po awansie nie przeniesiono go do innego pułku, co stanowiło dowód wyjątkowego w tych czasach wyróżnienia. W drugim dniu szturmie Warszawy (7.IX 1831 r.) Suchodolski walczył w reducie № 22. z baony 5-go pułku strzelców pieszych odbiły tu zrazu atak z baonów rosyjskich, a potem, zdziesiątkowane, utorowały sobie bagnietem odwrót przez 6 baonów przeciwnika. Suchodolski, mężczyzna olbrzymi i silny, wyratował tutaj swojego dowódcę, dzielnego majora Floryana Dąbrowskiego, ale sam otrzymał parę ciężkich ran. 8.IX, leżąc w szpitalu, usłyszał muzyki rosyjskiej: przeciwnik wkraczał do Warszawy. Wówczas Suchodolski zdarł z siebie bandaż i zginął z upływu krwi, nie chcąc przeżyć tej chwili.

Bitwa pod Kirchholmem.

(dnia 27 września 1605 r.)

(Dokończenie).

Gdy mu przed świtem 27 kwietnia doniesiono o zbliżaniu się nieprzyjaciela, wysłuchał nasampierw w namiocie mszy św., a potem dosiadł konia i z pagórka na wschód od Kurtenhofu obserwował rozwijających się szwedów. Około godz. 8 rano ustawili się oni wzdłuż brzegu dawnej wysepki, tak, że suche koryto chroniło ich szyki, jak gdyby rów umyślnie wykopany. Środek zajęła piechota Lindersona i ks. Fryderyka brunszwicko-limburskiego, ustawiona w szachownicę; na skrzydłach stanęła rajtarya. Prawem skrzydłem dowodził Mansfeld, lewem gen. Brandt. Reszta rajtarów z gwardyą szwedzką i szlachtą inflancką tworzyły rezerwę. Armaty polowe w liczbie 11 ustawiono na obu skrzydłach piechoty.

Dopiero po uzyskowaniu się szwedów wyprowadził Chodkiewicz swą jazdę i ustawił ją na jakich 800 kroków od suchego koryta, by jazda mogła nabrać impetu. Środek tworzyły 300 husarzy pod komendą por. Wojny, prawe skrzydło prowadził Sapieha, a lewe, najsilniejsze, pod Dąbrową liczyło 500 husarzy, 410 petyhorców, 300 kozaków. Rezerwę pod wodzą por. Lackiego tworzyła piechota, wynosząca 1,040 ludzi i 200 husarzy.

Chorągwie swoje ustawił Chodkiewicz w ściśniętych hufcach, tak, by szczupłe jego wojsko jeszcze mniejszem się wydawało i nieprzyjaciela do zaczepki zachęciło.

Szwedzi nie spieszyli się. Do południa żadna ze stron nie ruszyła się z miejsca, chociaż ochotnik litewski harcował, drażnił i wzywał do boju.

Hetman nie myślał jednak zachować się czysto odpornie; czekał tylko chwili, by jak huragan uderzyć na przeciwnika, kiedy ten odsłoni się niezręcznie, opasać go dokoła i zgnieść na miazgę. To zadanie oskrzydlenia i zagarnięcia przeciwnika przeznaczył Chodkiewicz lewemu skrzydłu Dąbrowy, najsilniejszemu, bo liczącemu 1200 koni. Za użyciem większej ilości jazdy na lewym skrzydle przemawiało i to także, że tu był teren dogodny do rozwinięcia konnicy, zabezpieczony Dźwiną, suchy i twardy, podczas gdy na prawem, bagnistem, poprzecinanem rowkami, jazda nie mogłaby działać skutecznie.

Na pół godziny przed bitwą lennik korony polskiej, ks. kurlandzki Kettler, przyprowadził 300 jazdy, która na oczach szwedów przeszła wpław szeroką Dźwinę. Kurlandczycy wzmocnili środek por. Wojny.

Teraz siły hetmańskie liczyły 3,700 ludzi, a więc cztery razy mniej niż szwedów.

Ażeby ducha wojsk podnieść i nadzieję zwycięstwa zamienić w pewność, rozpuścił Chodkiewicz pogłoskę o zbliżających się posiłkach pod hetmanem Radziwiłłem. Wiadomość tę potwierdzały wojska, ukazujące się z tyłu na wzgórzach. W rzeczywistości byli to ciury, wysłani potajemnie przez Chodkiewicza, aby widokiem podtrzymywali pogłoskę o nadciągającym Radziwiłłem.

Bitwa rozpoczęła się około 1-ej z południa fortem Chodkiewicza. Rozkazał on mianowicie harcownikom litewskim udać ucieczkę przed harcownikiem szwedzkim. Karol IX, złudzony tem, myśląc, że wojsko polskie tchórz oblatuje, dał znak do wyruszenia, a właściwie do pogoni za uciekającym niby nieprzyjacielem. Oba skrzydła szwedzkie pognały naprzód, przyczem lewe pod Brandtem miało rozkaz otoczenia i zajęcia tyłu polakom, oraz zepchnięcia ich do Dźwiny.

Chodkiewicz tylko czekał na to, aby szwedzi opuścili swe stanowisko. Na dany przez niego znak, ściśnięte kolumny polskie rozwinęły się w długie linie i runęły na szweda. Zagrzmiały trąby i kotły, a z piersi polskich rozległ się okrzyk „Jezus, Marya!“. Działa szwedzkie po obu stronach dały tylko kilka strzałów i umilkły, by swoich nie razić. Por. Wojna z husarzami i kurlandczykami pierwszy uderzył z wielkim impetem na czworoboki piechoty

szwedzkiej. Koncerze, szable i obuchy rozpoczęły krwawą pracę, nader ciężką, bo piechota przy pomocy pik i muszkietów broniła się zaciekle. Nie zdołała jednak wytrzymać natarcia i wkrótce pierwsza linia czworoboków, rozgromiona, wpadła na drugą.

Lecz lewe skrzydło polskie pod Dąbrową z szaloną szybkością natarło z przodu i z boku, niemal w jednej chwili, na z trudem poruszających się rajtarów Mansfelda. Ci nie wytrzymali natarcia i pierzchli. Uciekając, tratowali skrzydłowe czworoboki własnej piechoty. Petyhorcy litewscy puścili się za nimi w pogoń, a husarya z kozakami odcinała stratowaną przez rajtarów piechotę i uderzyła na boki i tyły tych czworoboków, które broniły się jeszcze przeciw Wojnie i kurlandczykom.

Tratowana przez własną jazdę, nie mogąc odeprzeć uderzenia husaryi, piechota szwedzka prawego skrzydła, zwątpiwszy w zwycięstwo, poczęła także uciekać. Garście udało się dopaść lasu. Resztki, broniąc się rozpaczliwie, ustępowały krok za krokiem, aż dotarły do kościoła kirchholmskiego i cmentarza, gdzie ogniem rzęсистym broniły się do upadłego. Hajducy litewscy ze spieszonymi kozakami zdobyli mury cmentarza i, z wyjątkiem znaczniejszych oficerów, wycięli wszystkich w pień.

Prawe skrzydło polskie pod Sapięhą miało twardy orzech do zgryzienia, bo przeciwko 650 husarzy było 1,200 rajtaryi Brandta, oraz 1,000 koni szlachty szwedzkiej i inflanckiej pod osobistem dowództwem Karola IX.

Z jazdą Brandta załatwił się Sapięha szybko. Wpadł na nią „jak rwący potok górski“, potłukł i rozpedził. Lecz ścigającą konnicę polską zaatakowała szlachta szwedzka, trzymana do tej pory w rezerwie. Wstrzymała ona pogoń i zmusiła do walki ze sobą. Sapięsze przybyły z pomocą chorągwie posiłkowe. Husarya biła się mężnie. Karol IX rzucił ostatnią rezerwę do walki. Szyki skłębiły się, pomieszały, lecz bój wściekły trwał w dalszym ciągu. Tylko rzucenie nowych rezerw mogło rozstrzygnąć walkę. Lecz rezerw nie posiadał już król szwedzki, gdyż wszystkie siły, jakie miał, wprowadził już do boju, pozbawiając się w ten sposób możności przechylenia szali zwycięstwa na swoją stronę.

Natomiast przezorny Chodkiewicz trzecią część całej swej siły trzymał jeszcze w rezerwie, by ją użyć dopiero w chwili ogólnego przesilenia. A gdy ta teraz nadeszła, dał Lackiemu znać do rozstrzygającego działania.

W lewy bok szwedzki uderzyło teraz, jak piorun, 200 koni husaryi, rozwiniętej w linię, i w jednej niemal chwili całą masę jazdy szwedzkiej zepchnęło na lewe skrzydło piechoty, broniącej się jeszcze Wojnie i kurlandczykom. Z górą 2500 koni szwedzkich i polskich, padło na piechotę, roztratowało ją i rozpedziło.

Lacki rozstrzygnął walkę na prawem skrzydle i zakończył bitwę. Chodkiewicz, jako zwycięzca, został panem pola. A wtedy, jak mówi historyk szwedzki, „skończyła się bitwa i rozpoczęła się straszliwa rzeź”.

Pokonawszy przeciwnika na placu boju, jazda polskolitewska puściła się za nim w pogoń, by go zniszczyć doszczętnie.

Trąby i kotły zagrały na tryumf, aż się echo rozlegało po lasach i borach.

Petyhorcy wyprzedzili uciekającą rajtaryę i stanawszy w zwężeniu między lasem a Dźwiną, przez które wiodła droga do Rygi, odcięli jej odwrót. Otoczeni szwedzi usiłowali się przebić; nie mogąc przebić się do lasów, rzucali się w Dźwinę i tonęli. Z całej armii szwedzkiej dotarła do floty tylko garść najlepszych jeźdźców z królem, który, wściekły z gniewu i wstydu, własną ręką przebił swego pierwszego jeńca polskiego, Krajewskiego.

Okrętom szwedzkim, odpływającym ku morzu, towarzyszyła brzegiem Dźwiny jazda polska. Wieczorem nie było już szwedów w Inflantach.

Zdobyto obóz, 60 chorągwi i 11 dział; według źródeł szwedzkich w samej bitwie poległo 8000, nie licząc tych, co padli w pogoni, bądź też potonęli w Dźwinie. Ze znaczniejszych oficerów szwedzkich polegli: ks. Fryderyk brunszwicki, gen. Linderson, pułk. Stygel, pułk. Forbes utonął w Dźwinie. Do niewoli zostali wzięci: gen. Brandt, gubernator Rewla Witting, pułk. Sztýwer, konsyliarz Wakebart.

Niesłychane to zwycięstwo okupili polacy 100 poległymi i około 200 rannymi; strata koni wynosiła 300. Między rannymi był por. Wojna.

Bitwa pod Kirchholmem świadczy o wielkim talencie wojskowym Chodkiewicza, który cztery razy silniejszego przeciwnika pokonał i zniósł doszczętnie, dzięki ekonomii i podziałowi sił na części z jasno określonymi zadaniami. Jazda polska okryła się niespożytą sławą, rozbijając szalonym impetem licznie silniejsze czworoboki piechoty szwedzkiej. To też sława Chodkiewicza i oręża polskiego

rozbrzmiewała w całym świecie. Hetmanowi przesłali życzenia: cesarz Rudolf, Jakób król angielski, papież Paweł V, wraz z błogosławieństwem; sułtan turecki i szach perski przesłali powinszowania królowi polskiemu.

J. M. i.

Wiadomości z taktyki piechoty dla żołnierzy.

II

Gdy dowódca uzna dalszy marsz w szyku zwartym za nie-
możliwy — oddział przechodzi do szyku luźnego. Oznacza to,
iż wchodzimy na pole walki, że dalej posuwamy się już w szy-
ku bojowym—tyralierce.

Dowódca, rozwijając oddział w tyralierkę, dzieli go na dwie
części: walczącą i zabezpieczającą czyli odwód. Część walcząca
stanowi linię bojową, wytrzymuje cały ciężar walki bezpośred-
niej z nieprzyjacielem i przed ukończeniem takowej nie może
być zluzowana. Odwód pozostaje do rozporządzenia dowódcy na
krytyczną chwilę walki, celem zdobycia decydującej przewagi
nad przeciwnikiem. Po wprowadzeniu wszystkich rozporządza-
nych sił do walki nie dadzą się już pomyśleć żadne poważniej-
sze w niej zmiany.

Siła liczebna odwodu zależy od posiadanych wiadomości
o nieprzyjacielu,—od tego, czy oddział działa samodzielnie, czy też
w związku z innymi oddziałami, od zadania i t. p. Naogół stosu-
nek części walczącej do odwodu przedstawia się jak 2:1. Po-
działu tego nie stosuje się zupełnie wówczas, gdy oddział na
skutek zarządzenia dowództwa w całości wchodzi do linii bojowej.

Rozciągłość frontu oddziału rozwijającego się w tyralierkę
uzależniona jest od odcinka przeznaczonego dla oddziału na wal-
kę. Zwykle kompania otrzymuje odcinek takiej szerokości, by
przeciętna (przepisowa) odległość między poszczególnymi tyralie-
rami wynosiła 4 kroki. W miarę jednak zwężenia lub rozszerzenia
frontu—tyralierka ścięśnia się, względnie rozciąga. Przy ścięśnia-
niu—odstęp między żołnierzami zmniejszają się aż do 1 kroku,
przy rozciąganiu zwiększają się aż do 20 kroków. Zbyt wielkich
odchyień jednak od przeciętnej rozciągłości linii—należy unikać.
Tyralierka ścięśniona staje się bardziej widocznym dla nieprzy-
jaciela celem, a przeto ściągą na siebie większy ogień i powo-
duje liczniejsze straty. Zbyt rozluźniona — osamotnia niejako

żołnierza, zmniejsza siłę natarcia, utrudnia ostatecznie kierownictwo.

Przy rozwijaniu każdy, choćby najmniejszy, oddział otrzymuje możliwie szczegółowe wskazania co do swej roli, szczególnie zaś kierunku, w jakim ma się posuwać. O ile niema możliwości wytyczenia ścisłego kierunku — uciec się trzeba do pomocy kompasu. By nie pochłaniać całkowicie uwagi żołnierzy dla tego celu — wyznacza się w oddziałach pododdziały kierunkowe, a w tych — poszczególnych żołnierzy, którzy za całe swoje zadanie uważają, by kierunku nie zgubić. Do nich zaś obowiązani przystosowywać się wszyscy pozostali.

Przy wyznaczaniu pododdziału kierunkowego nie powierza się tego obowiązku oddziałowi, mającemu najtrudniejszą lub najłatwiejszą drogę do przebycia, gdyż utrudniłoby to przystosowanie się pododdziałom sąsiednim. Pamiętać trzeba o tem, by jednostka kierunkowa znajdowała się w warunkach jednakich z pododdziałami, którym kierunek wskazuje.

Posuwanie się linii walczącej ku nieprzyjacielowi, jako też odwodu, odbywa się — pokaż nieprzyjaciel na to pozwala — krokiem zwykłym, a to by żołnierza nie męczyć, zachować świeżość jego i siły na ostatnią decydującą chwilę. Aczkolwiek nie wymaga się od żołnierza równania w linii, względna równość jej potrzebna jest dla utrzymania karności i porządku, przedewszystkiem zaś jako środek demoralizujący przeciwnika. Widok zdala następującej spokojnie a równo linii wpaja w nieprzyjaciela przekonanie o jej pewności, o jej żelaznej mocy uderzenia. Po przed tyralierkę wysuwa się linię patroli, która bada starannie teren i wskazuje oddziałowi dogodne miejsca dla przystanków. Za dogodne miejsca uważamy takie, które w dalszej odległości od nieprzyjaciela chronią od kul karabinowych. Patrole powyższe cofają się do linii wówczas dopiero, gdy ta zmuszona jest otworzyć ogień.

Okopywanie się na przystankach w dalszej od nieprzyjaciela odległości — aczkolwiek zasadniczo pożyteczne, gdyż daje schrony gotowe dla odwodu i nieocenione usługi oddać może na wypadek odwrotu — praktycznie nie zawsze jest do przeprowadzenia, szczególnie, gdy chodzi o zachowanie sił żołnierza.

Gdy linia jest zmuszoną otworzyć ogień — czyli w bezpośrednią niejako łączność wchodzi z nieprzyjacielem — sposób posuwania się ulega gruntownej zmianie.

Krok zostaje zamieniony przez bieg przerywany od pozycji do pozycji, a nie przystanku, chroniącego od kul, jak to było zdala. O wyborze pozycji decyduje przedewszystkiem do-

bry obstrzał, a dopiero potem własne bezpieczeństwo. Na każdej pozycji żołnierze okopują się bezzwłocznie i obowiązkowo, a tym sposobem stwarza się zasłony ogniowe dla przebiegających z tyłu.

Uskutecznia się przebieganie bądź całą linią, bądź częściowo ze szczególnem wykorzystywaniem zasłon terenowych, martwych pól, osłabienia ognia nieprzyjacielskiego. W dużym ogniu bieg zamienia się na skoki lub pełzanie, liczebność przebiegających — zmniejsza się; staramy się mylić czujność nieprzyjaciela przez niekolejne przebieganie grup poszczególnych. I w tej chwili wszakże nie rwie się zupełnie więzów organizacyjnych. Najmniejszą jednostką, która sama poruszać się może, jest sekcya. Wyjątkowo tylko wolno dokonywać skoków pojedynczo. Pamiętać wszakże należy, że pösowanie takie zawsze utrudnia wybór pozycji i wprowadza niepożądany nieład do pododdziału.

Odwód w tym samym czasie zmniejsza powoli odległość, dzielącą go od linii bojowej, gotuje się do wzmocnienia jej. W posuwaniu naprzód stosuje te same sposoby, wykorzystując przytem spotykane po drodze, a opróżnione przez linię bojową, okopki.

Widzimy więc, że od czasu wejścia do linii tyralierskiej pododdziały, a nawet żołnierze poszczególni zyskują wiele samodzielności. Wymaga się tu od nich nie ślepego posłuszeństwa, a rozumowego przystosowania się do woli dowództwa. Każdy żołnierz zachowaniem swoim przyczynia się w pewnej mierze do wyniku walki, każdy przeto winien się starać wniknąć w zamiary dowództwa i inteligentnem wykonaniem zarządzeń zasłużyć się wspólnej sprawie. Przedsięwzięcie i rozumne przystosowanie — nigdy jednak nie powinny zamieniać się w samowolę, gdyż ta dla wojska, tej nowoczesnej złożonej maszyny, tylko szkodliwą być może.

W. Drojowski.

(D. c. n.).

Zwierzęta na wojnie w obrębie ognia działowego.

Jakżeż wiele ciekawych a pouczających objawów można zaobserwować nieraz u zwierząt, znajdujących się w obrębie ognia działowego podczas długich walk pozycyjnych. Kilka wymownych przykładów podajemy poniżej czytelnikom „Wiarusa“.

Stały ogień działowy, pustosząc zupełnie okolice, odcinając

ją od reszty świata, stwarza sztuczny obręb śmierci, pozostawiający wyraźne skutki na każdym żywym organizmie. To też—zaiste—podziwienią godnym jest fakt, z jakim zrównoważeniem i przyzwyczajeniem, z jakim spokojem i powagą znoszą naogół zwierzęta ogień działowy i zawziętą walkę mas ludzkich. Często giną one wśród ogólnego zniszczenia i zagłady; wyszkolone jednak odpowiednio, zdolne są w najcięższych chwilach przynieść człowiekowi nieocenione usługi, nieustępując mu w niczem pod względem wytrzymałości i przystosowania do warunków.

Zwierzęta żyjące na wolności w okolicy nawiedzanej walką, potrafią zachowywać się czasami całkowicie normalnie: ogień działowy nie wpływa bynajmniej na ich tryb życia.

Przykłady są liczne i zajmujące.

Pewien niemiecki oficer, wśród piekła dział, które grzmiały pod Verdun, obserwował przepiórkę, jak godzinami całemi siadywała na przedpiersiu. Ptak ten żył naogół spokojnie i często widywano go wędrującego po polu niegdyś zbożowem lub też po łące, na której, w wyrwie do wybuchu granatu, usiał sobie gniazdo i wyłegł pisklęta.

W tej samej okolicy, opodal wzgórza Nr. 304 — jak mówi pewien uczestnik walk pod Verdun—żyło równie niefrasobliwie, a sielsko i spokojnie stadko kuropatw. Obserwowano tam również zająca, który obrał sobie legowisko w wyrwie po granacie, nietroszcząc się bynajmniej o piekielny zaiste hałas, ani o świst padających pocisków. Słowiki śpiewały bez przestanku w uroczym lasku Avancourt, który co dnia trzebiły pociski nieprzyjacielskie. Skowronki zawodziły w czasie najzawziętszych walk i nieraz w chwili najgorętszego ostrzeliwania, jakby podniecone walką, wzbijały się wysoko pod niebo.

*

*

*

Dzikie kaczki i inne ptactwo brodzące również niewiele troszczy się o to, że na świecie wojna. Spokojnie siedzi ono w swoich siedzibach po błotach i zaroślach. Pociski płoszą je tylko chwilowo i zaraz potem powraca ono do siedzib z uporem przyzwyczajenia. To też ginie nieraz całemi, nieprzeliczonymi stadami.

Mniej przyjemnymi, a równie stałymi i nieusuwalnymi gośćmi w okopach są—jak wiadomo—myszy polne, oraz opasłe szczury. Żywności mają one naogół pod dostatkiem, to też natrętnie powracają do swych siedzib, natrętnie do tego stopnia, że trzeba organizować specjalne wyprawy, aby je wypłoszyć lub wytępić. Szczególnie nisko położone i nawodnione okolice są ulubionym terenem pobytu tych zwierząt. Często, jak tylko z powodu ognia huraganowego opuści się na chwilę linię okopów, już nad-

ciągają do niej zastępy szczurów i usadawiają się na nowem gospodarstwie. Ogień działowy płoszy je chwilowo, wkrótce opuszczają swe kryjówki i znowu ich pełno w całych okopach; widać często, jak biegną one między przeszkodami z drutów, szybkimi poruszeniami ratując się przed pociskami.

*

*

*

Wiadomo powszechnie, że koty przyzwyczajają się raczej do miejscowości niż osoby. Na wojnie i pod tym względem zachodzą wyjątki. Zdarza się często, że kot przyplątuje się do oddziału nie tylko w nadziei pożywienia, ale jakby ze szczególniejszej sympatyj i zaufania, szukając tu ochrony przed pociskami. Wypadki tego rodzaju są liczne. Koty żyją na wojnie w wielkiej przyjaźni z żołnierzami, tępiąc zaś myszy i szczury oddają żołnierzom nie małe usługi. W okopach niemieckich, w pewnej jamie na kartofle, usadowiło się kilka kotów; żyły one w wielkiej przyjaźni z żołnierzami, towarzyszyły im na patrolu, powracając z nimi zawsze. Sły one za żołnierzami do miejsc najbardziej wysuniętych, nie opuszczając ich na chwilę, nie troszcząc się wcale o huk. Skoro zaś ogień wzmagał się do ostatecznego napięcia i granaty padały w pobliżu, lub też wybuchały miny, koty dezertowały, lecz nie na daleki dystans; często przypadały do ścian, lub też tłoczyły się do najbliższej kryjówki, albo znów—co uważały za najmiłą i najwygodniejszą formę dezercyj—wdrapywały się przerażone na żołnierzy, chroniąc się pod ramiona lub na piersi. Jeden z kotów, widać trochę odważniejszy z natury, upodobał sobie ramię jednego z żołnierzy, na które wdrapywał się bez ceremonij i przebywał tak długo, aż się uspokoiło zupełnie.

D. n.

Surogaty wojenne.

„Ersatze“. W każdym piśmie, chcąc powiadamiać czytelnika o postępie techniki i przemysłu, musi to być już stała dzisiaj rubryka, nosząca powyższy napis. Z tych ersatzów czy, jak inni nazywać każą—również nie po polsku—surogatów, jedne będą miały żywot krótkotrwały i znikną wkrótce—przynajmniej niedługo—po wojnie, ale inne są tak praktyczne, że im można przepowiedzieć bardziej długotrwałe uznanie. Wzmiankę o dwu ta-

kich podajemy dzisiaj, które choć drobne, jednak w życiu codziennem mogą nieraz dopomóc w chwilowej potrzebie.

Jeden z nich, to korek. Nie chodzi tu oczywiście o drzewo korkowe, czyli o ową korę dębu korkowego (*Quercus Suber*), rosnącego w południowej Europie, zwłaszcza w Hiszpanii i Portugalii, oraz na wybrzeżach północnej Afryki. Chociaż bowiem każde drzewo ma korę, to znaczy powłokę zewnętrzną, po większej części obumarłą i mającą za zadanie chronić drzewo od szkodliwych wpływów zewnętrznych, to jednak ta kora jest tak krucha lub cienka, że do użytku praktycznego nie nadaje się. Tylko ten jeden jedyny gatunek dębu, wymienionego powyżej, wydaje przy odpowiednich zabiegach, mianowicie po odcięciu pierwszej kory, co kilkanaście lat korę miękką, grubą aż do 20 cm., nieulegającą zepsuciu i nadającą się do wszelkiego rodzaju obrabiania. Zastosowanie też tego korka jest bardzo wielorakie. Pływaki przy sieciach, pasy ochronne, izolatory cieplne (ztań wkładki do trzewików) i t. d., oto najglówniejsze tylko zakresy, gdzie korek znajduje szerokie wzięcie. Już za czasów rzymskich, jak wspomina Horacy (Oda. III,8; „corticem adstrictum pice dimovebit—amphorae”) stosowano korki do tego celu, na który dzisiaj obraca się 90% całkowitej światowej produkcji korka, to jest do zatykania naczyń napełnionych płynami — zwłaszcza trunkami. Oczywiście u rzymian nie były to flaszki, bo tych dopiero w wieku 15-ym zaczęto używać do przechowywania płynów, ale już wtedy zatykano korkami beczki. Na wielką skalę wyrabianie korków do butelek zaczyna się jednak dopiero około 1760 roku i to w Katalonii, gdzie i dziś jeszcze najlepsze wyrabiają korki; wogóle z całkowitej produkcji korka dębowego, wynoszącej około 120000 ton rocznie, trzecia część przypada na Hiszpanię.

Mocarstwa centralne całkowite zapotrzebowanie korkowe pokrywać oczywiście muszą z zagranicy, a jak poważne to są ilości, można nabrać pojęcia z tego, że same Niemcy np. w r. 1903 sprowadziły, głównie z Hiszpanii i Portugalii, 9391 ton surowego korka i 1426 ton korkowych towarów, za cenę łączną 940000 marek. Obecnie import ten ustał, a tymczasem zapotrzebowanie korków do różnych celów, cywilnych i wojskowych, raczej wzrosło. Nic więc dziwnego, że przemysł, który na tym gwałtownie cierpi, szuka środków zaradczych. W najważniejszym właśnie zastosowaniu korka, to jest jako zatyczki butelek, świeżo właśnie taki środek zaradczy wynaleziono i do jego produkcji utworzyło się już towarzystwo. Oczywiście rzecz dzieje się w Niemczech, a firma towarzystwa: „Deutsche Patentstopfen-Gesellschaft“. Te zatyczki patentowe mają kształt mniej więcej zwykłego korka, a zrobione są z miękkich gatunków drzew, jak

z brzozy, lipy, olchy lub topoli. Cały pomysł polega na tem, że ten drewniany korek jest wewnątrz wydrażony i to wydrażenie sprawia, że ściany korka przylegają bardzo elastycznie i zupełnie szczelnie do ścian flaszki. Zatyckę taką można bezpiecznie ręką lub maszynką do korkowania wcisnąć do szyjki butelki, bez obawy uszkodzenia szkła, gdyż cienkie ścianki zatyczki są zbyt elastyczne, by parciem szkło rozgnieść. Z zatkanemi w ten sposób butelkami wina robiono już miesiącami doświadczenia z jak najlepszym wynikiem. Jak widzimy, jest to urządzenie tak proste, że gdyby nie patent ochronny, to każdy żołnierz w polu mógłby zwykłym nożem, z byle jakiego kawałka lipy lub brzozy, zrobić sobie doskonały korek do flaszki czy manierki.

A drugi ersatz, jeszcze może ważniejszy od poprzedniego, a również prosty, to mydło. Nad zaletami tego artykułu niepotrzeba się rozwodzić; stanowi on przecież nieraz niedościgły przedmiot marzeń żołnierza, zwłaszcza zaatakowanego przez domowe owady. Dlatego też każdy z radością powita zapewne wynalazek surogatu mydła, jakiego tą razą dokonali nie Niemcy, lecz Francuzi. Robi się tak: owoce zwykłych dzikich kasztanów obłuskuje się z brunatnej skóry i pozostały biały owoc kraje się na możliwie drobne talarki, które suszy się następnie na słońcu. Krażki, tak wysuszone, tłucze się na miazgi proszek i polewa się wodą, otrzymując w ten sposób mieszaninę, zastępującą przy myciu i szorowaniu doskonałe mydło.

Ks. Hortyński.

Marceli Dupont: Wywiad przed bitwą nad Marną.

II.

(Patrz № 13).

Sądziłem, że teraz zobaczę odrazu Courgivault, ale małe zagięcie terenu zasłania mi jeszcze wieś. Korzystam z tej naturalnej osłony, ażeby podjechać pod nią z całym moim patrollem bez obawy kul nieprzyjacielskich. Następnie, poprzedzani zawsze przez Vercherina, wjeżdżamy na płaskowyż, gdzie znajduje się wieś.

Każdy, kto przechodził przez podobne rzeczy, zna tę krótką chwilę wzruszenia, które się odczuwa, gdy nagle, o kilka setek metrów od siebie, widzi się kres swego zadania, punkt decydujący, do którego za wszelką cenę dotrzeć trzeba, gdzie—jest się tego prawie pewnym—znajduje się ukryty nieprzyjaciel, gdzie człowiek domyśla się, że tenże widział go z ukrycia, śle-

dzi w cichości każde jego poruszenie, ażeby w właściwej chwili powalić go celnym strzałem.

Na chwilę zatrzymuję moich ludzi. Pomiedzy zielonemi łąkami i strzechami, poprzedzielanemi jabłoniemi, widać ciemną linię wsi. Jest to całość dosyć zwykła: niektóre domy jak folwarki, inne — zwykłe chłopskie chaty. Dachy, kryte dachówką, tworzą razem jakby masę czerwoną, ponad którą wznosi się niska dzwonnica kościelna. Przez lornetkę widzę tarczę zegara i odczytuję na nim godzinę: kwadrans po szóstej.

Ale też ten zegar wydaje się jedyną istotą żyjącą w całej wsi. Napróżno tu szukać w ogrodach i sadach, które ją otaczają jakgdyby kwitnym pasem, śladów normalnego wiejskiego życia. A przecież jest to godzina, w której zazwyczaj wychodzą z obory z zawiniętymi rękawami gospodynie w chodakach, dzwigające pełne dzieżę świeżo udojonego mleka i o której na ciemnej drodze ciągną ciężkie wozy i żniwiarze idą jedni za drugimi do pracy codziennej. Czy wojna wypędziła gdzieś daleko stąd spokojnych wieśniaków? czy też ciężka pięść nieprzyjaciela trzyma ich uwięzionych, zamkniętych w piwnicach, pod groźbą rewolwerów?

A przecież z naszego miejsca obserwacyjnego nie nie pozwala przypuszczać, że wieś obsadził nieprzyjaciel. Żadna barykada nie zamyka wjazdu do niej; nie widać żadnej wedety ani obok młynów, ani za drzewami.

Na południu od wsi, w kierunku ku nam, widać, jakby kadłub okrętu, imponującą masę jednego dużego folwarku. Wydaje się ona jakby wysuniętym fortem twierdzy Courgivault. Mury są wysokie i białe. Na samym końcu budowli mała wieżyczka, zarośnięta zupełnie, która robi wrażenie jakiejś baszty średniowiecznej. Droga, którą podjechalismy, wijąc się wężym między polami, przechodzi, o ile się zdaje, około głównego wejścia tego folwarku. Naprzeciwno tego wejścia odgaduję drugą drogę, prostopadłą do pierwszej, której kierunek oznacza linia jej drzew przydrożnych. A wzdłuż tej drogi widać w małych odstępach jakiś tuzin wielkich młynów, które robią wrażenie jakby groźnej linii bojowej, sformowanej wprost przeciw nam, mającej jakby zagrozić nam wejście do wioski.

I wśród tego wszystkiego ciągle też sama cisza, napewno tragiczniejsza od zgiełku bitwy. Mam wrażenie, że dwie armie odsunęły się — każda w swoją stronę, a my tylko pozostaliśmy sami, zapomniani, o jakieś sto kilometrów od jednej i od drugiej.

Ale trzeba z tem skończyć. Na mój znak Vercherin zbliża się do pierwszego drzewa długiej linii topoli. Ta linia zaczyna się od folwarku, idzie wzdłuż naszej drogi aż na odległość

jakichś stu metrów od jego murów. Przesuwając się od jednego drzewa do drugiego, będzie on mógł względnie bezpiecznie zbliżyć się ku wsi. Naraz widzę, że zatrzymuje się on gwałtownie, podnosi się na strzemionach i patrzy przed siebie w kierunku młynów. Nie potrzeba tu najmniejszego znaku. Zrozumiałem, że on widzi coś niezwykłego, i w jednej chwili galopem jestem już obok niego. Jest spokojny jak zawsze, tylko jego oczy niebieskie—jakby bardziej rozszerzyły się, mówi też trochę prędzej, z niezwykłym naciskiem. „Mój poruczniku, tam, z za tego młyna, zdawało mi się..... sądziłem, że widzę głowę, podnoszącą się ponad trawą“.

Patrzę w tym kierunku, który mi wskazuje końcem swego karabina i nie widzę nic, tylko wieś zaciszną i spokojną. Zawsze to samo uczucie pustki, wstrętne, przygnębiające. I rzecz dziwna, nasze obydwa konie, którym puściliśmy cugle, naraz, jakby się przeraziły, w jednej chwili, obydwa razem, robią pół obrotu. Ja prędko nawróciłem mojego silnem daniem ostrogi, podczas gdy Vercherin, porwany trochę dalej, wraca drobnym truchtem. Podnoszę znowu moją lornetkę, ażeby zbliższy zbadać wszystkie szczegóły wioski.

I wtedy, akurat wtedy, gdy podnoszę ją do oczu, widzę wyrastającą nagle przede mną, w odległości najwyżej stu metrów, całą linię tyralierów w szarych mundurach. Przez sekundę coś nam strasznie ściska serca. Ilu ich jest? Dwustu, trzystu może. I w tej chwili zabrzmiała salwa karabinów. Śledzili nas oddawna. Leżąc w trawie przy drodze do folwarku, albo ukryci za młynami, z tą niezwykłą karnością, stanowiącą ich siłę, spełniali wydany im rozkaz. Ani jeden z nich nie wystawił głowy. Tylko prawdopodobnie ich kapitan podnosił od czasu do czasu głowę, ażeby ocenić, kiedy nadejdzie właściwa chwila do zakomenderowania ognia. To pewno jego, na nasze szczęście, zobaczył Vercherin. Gdyby nie nasza ostrożność, którą nabyliśmy dopiero przez doświadczenie, ani jeden z nas nie byłby wyszedł cało. Na szczęście każdy z moich ludzi trzymał się miejsca, które mu wyznaczyłem; żaden nie ruszył się nawet podczas salwy, a przecież jeden Bóg wie, jaką piekielną muzykę zagrały kule w naszych uszach.

Trzeba teraz wycofać się.

Robię znak, który moi pojmują odrazu. Każdy z nich robi pół obrotu i wyciągniętym galopem pędzi ku dolinie, z której tylko co wynurzyliśmy się. Kule towarzyszą nam swoim wstrętnym świstem, który odruchowo zmusza nas do wtulania głowy w ramiona. Ale wewnętrznie cieszę się z zawziętości nieprzyjaciela na nas, bo w pośpiechu celują źle.

I prawie już jesteśmy poza zasłoną, gdy nagle widzę, jak na prawo ode mnie wali się jak kłoda Ramier, koń strzelca Lemaitre'a. Staram się powstrzymać całą siłą moją klacz, która okazuje niepowstrzymaną chętkę usunięcia się jak najdalej od niebezpieczeństwa; widzę jeźdźcę i konia, leżących przez chwilę na ziemi i tworzących razem jedną pomieszaną masę kopyt wzniesionych i rąk rzucających się. Ramier za chwilę podnosi się i rusza sam, rżąc żałośnie. Biegnie kłusem, potykając się, co nie jest dobrym znakiem.

Ale już i Lemaitre jest znowu na nogach; prostuje na głowie swój zgnieciony kaszkiet. Trochę ogłuszony, przez chwilę zdaje się zbierać myśli; widzę wreszcie jego pocziwą twarz czerwoną, zwracającą się do mnie „Nic złego, mój stary?“ „Nic złamanego, mój poruczniku“. „No, to biegiem“!

Widzę, jak mój Lemaitre wyciąga swe krótkie nogi w ciężkich butach i przeskakuje rowy i wyrwy z lekkością, o jaką doprawdy nigdybym go nie posadził. Ciekawa to rzecz, jak odgłos strzałów dodaje rąchości nogom spieszonego jeźdźcy. Lemaitre przybywa równocześnie ze mną do brzegu doliny. I prawie równocześnie Finet, saper, przyprowadza mu jego starego towarzysza Ramiera, którego zdołał złapać. Aż boli patrzeć na biedne konisko, tak już bardzo kuleje. Postępuje z wybitną trudnością, a spojrzenie jego ma wyraz nieskończonej udręki.

Jednym rzutem oka spostrzegłem miejsce postrzału. Małutki otwór, ledwie widoczny wpośród ciemnej szersci, powyżej lewej pęciny.

„Pozostań tutaj i czekaj na nas! Powracamy za chwilę“.

Chcę się przekonać, czy i na wschód wsi jest co do zobaczenia i wracam do reszty moich ludzi, których konie, zgromadzone za nami, dyszą ciężko. Jakie jest moje zdziwienie, gdy zobaczyłem, że kapral Madeleine ma twarz zalaną krwią.

„To nic, mój poruczniku, to mi przeszło przed nosem“.

I mankietem rękawa obciera twarz. Rzeczywiście, kula drasnęła go tylko. Jeden centymetr bliżej, a dzielny chłopak byłby bez nosa. Na szczęście skóra jest tylko trochę naruszona. Madeleine mówi znowu.

„To nic, to głupstwo, ale moja klacz“.....

Zsiadł z konia i z miną zropanzoną pokazuje mi udo skrwawione Atrakcyi, ładnej i zgrabnej klaczy szpakowatej, którą kocha, o którą dba niezwykle. Kula przebiła jej udo na wylot i krew popłynęła, zdobiąc ją jakby w kamasz czerwony. Uspakajam go:

„To nic złego, to nic nie będzie. Idź pieszo z Lemaitrem za lasek; ja niedługo złączę się z wami“.

(D. n.)

Życie żołnierskie.

Nominacja.

Rozkazem wodza naczelnego został mianowany kapitanem weterynaryi—lek. wet. Józef Malewski.

Zwolnienie.

Rozkazem wodza naczelnego został zwolniony z wojska i oddany do dyspozycji władz okupacyjnych, jako lekarz powiatowy w Ostrowiu, —por.-lek. Wacław Szajkowski.

Przydziały.

Kilku lekarzy zostało przydzielonych do niemieckich szpitali i kursów w celu wyszkolenia na szefów szpitali, patologów, bakteriologów i w badaniu krwi.

Noszenie czapki.

W jednym z ostatnich rozkazów naczelnego dowództwo przypomniało, że czapkę należy nosić nieco przechyloną na prawą stronę, tak jednak, by orzełek znajdował się nad środkiem czoła. Jest to stary polski zwyczaj, zaznaczający zuchowatość, szanowany tradycyjnie przez władze wojskowe polskie.

Pamięci poległych pod Rokitną.

Dnia 13 b. m., jako w 3-ą rocznicę szarży pod Rokitną, odbyło się w kościele garnizonowym przy ulicy Długiej, odprawione przez ks. kapelana Antosza, uroczyste nabożeństwo za poległych w szarży i zmarłych z ran wtedy otrzymanych oficerów i żołnierzy 2-go szwadronu ułanów L. P.

Rocznica szarży pod Rokitną, — ułańskie święto. A więc pięknie przybrany krzewami i obstawiony lasem lanc z białoczerwonymi proporcami katafalk; na nim czako i szabla. Przy katafalku straż honorowa: sześciu ułanów z obnażonymi szablami.

Na nabożeństwie, oprócz publiczności cywilnej, obecnych kilku uczestników szarży, delegacya szwadronu ułanów z Mińska Mazowieckiego z rotm. Kleebergiem na czele i wolni od służby oficerowie garnizonu warszawskiego.

O pomoc dla rodzin żołnierzy.

Koło pomocy dla legionistów zwróciło się do Magistratu z prośbą o przyznanie zapomóg rodzinom żołnierzy polskich za miesiące: kwiecień, maj i czerwiec, ponieważ nie ma innej możliwości do okazania pomocy pozostającym bez żadnych środków rodzinom legionistów.

Prośby o uwalnianie jeńców.

Według urzędowych informacji rodziny, czyniące starania o uwolnienie jeńców, b. żołnierzy rosyjskich, z obozów niemieckich, winny zwracać się do naczelników powiatów, w których mieszkają, lub prezydentów policyi. Prośby kierowane do gubernatorów wojennych lub ministerstwa wojny niemieckiego nie będą uwzględniane.

Powrót inwalidów.

Według otrzymanych wiadomości w czasie najbliższym do kraju powróci z Rosji przeszło 15000 inwalidów-kalek. Odpowiednie czynniki czynią już starania, by powracającym zabezpieczyć należytą opiekę. Konieczne jest otworzenie dla nich państwowych strzech weteranów, schronisk i przytułków, gdzie w pracowniach, wzorowanych na istniejących w państwach centralnych, nieszczęśliwe ofiary wojny mogłyby wyszkolić się w odpowiednich dla siebie zajęciach, by móc utrzymać się własną pracą i nie być ciężarem państwu powstającemu.

Co się dzieje z oficerami i szeregowymi z b. Polskiego Korpusu Pożytkowego?

Z ogólnej liczby internowanych w Huszt 1,200 oficerów i 3,500 szeregowych, jak donosi lwowski „Wiek Nowy“, wszystkich nieoddanych pod sąd w Marmarosz-Szigeth, odesłano na front włoski, gdzie stanowią niedaleko Udine odrębną grupę.

Pomnik Kościuszki.

W Liskowie odsłonięto w tych dniach pomnik Kościuszki.

Lisków w ziemi Kaliskiej, jedna z nielicznych wzorowo zagospodarowanych wsi polskich, pod względem uświadamienia narodo-owego przoduje całej okolicy.

Powracający jeńcy niemieccy.

Byli jeńcy wojenni, po powrocie do kraju otrzymują urlopy, a po zakończeniu takowych powoływani są na zwykłych warunkach do szeregów. Zwalniani są tylko ci, którzy ze względu na stan zdrowia lub wiek nie odpowiadają warunkom służby wojskowej.

Proces oficerów i szeregowych b. Polskiego Korpusu Pożytkowego w Marmarosz-Szigeth.

Pisma drukują oficjalne sprawozdania austriackiego C. i K. Biura korespondencyjnego z rozprawy sądowej, która rozpoczęła się przed sądem wojennym 4-ej armii austro-węgierskiej w dniu 8 czerwca r. b. Jawność rozpraw sądowych, prowadzonych w języku niemieckim, przyjęta jest na wniosek obrońców. Na rozprawie są

obecni przedstawiciele Rządu Polskiego z Warszawy, oraz wybitni działacze b. Naczelnego Komitetu Narodowego z Galicyi: Jaworski, Głabiński, przybył również Abraham, poseł do parlamentu węgierskiego. Szczegółowe sprawozdania z procesu zezwolono umieszczać „Nowej Reformie” (Kraków) i „Kurjerowi Lwowskiemu” (Lwów). Korespondenci obu tych dzienników są na sali obrad przy stole prasy. Oskarżonych 91 oficerów i 48 szeregowych bronią adwokaci: Dwernicki, Kwieciński, Liebermann, Loewenstein, Ostrowski i Przeworski. Na świadków wezwano około 100 oficerów i żołnierzy b. Korpusu Posiłkowego. Sądowi przewodniczy generał major Rettlich.

Obchód stułetniej rocznicy zgonu gen. Henryka Dąbrowskiego w oddziałach W. P. w Warszawie.

Staraniem Uniwersytetu Żołnierskiego 5 czerwca wygłosił odczyt kap. J. Dąbrowski w gospodzie przy ul. Marszałkowskiej, poczem nastąpiła deklamacya p. Toczyńskiej pięknych utworów Or-Ota i Konopnickiej, związanych treścią z pamięcią wodza Legionów.

W szpitalu garnizonowym przy ul. Pięknej por. B. Pawłowski wypowiedział odczyt, również uzupełniony deklamacyą p. Toczyńskiej.

W schronisku Komisji Wojskowej przy ul. Śliskiej i przy szpitalu Czerwonego Krzyża wykladał o Dąbrowskim sierż. A. Chmurski, a w zakładzie karnym przy ul. Dzikiej nauczyciel K. Kruszewski.

Un. Żołn. rozesłał do oddziałów 34 portrety gen. Dąbrowskiego, zaopatrzone w odpowiedni tekst, celem umieszczenia ich na ścianach koszar żołnierskich. Każda kompania i brygada otrzymała jeden portret. Pozatem Un. Żołn. rozesłał do bibliotek żołnierskich znaczną ilość książeczek o gen. Dąbrowskim, oraz kilka egzemplarzy „Legionów” Sienkiewicza.

W niedzielę 9.VI w kościele garnizonowym przy ul. Długiej kapelan ks. Antosz odprawił uroczyste nabożeństwo ku czci gen. Dąbrowskiego, po którem wygłosił podniosłe kazanie, zestawiając w niem dzieło Legionów z przed stu lat z Legionami wojny obecnej. Artystycznie wykonane podczas nabożeństwa śpiewy i muzyka wywęwały w świątyni, przepełnionej wojskowymi i publicznością, nastroj wzniosły, szczególnie, gdy rozbrzmiały tony nieśmiertelnego Mazurka.

Rocznica gen. Dąbrowskiego w Warszawie.

Obchód rocznicy w mieście nie uwidocznił się tak, jakby się tego spodziewać należało. Przyczynił się do tego przedewszystkiem brak prasy, bez przypomnień której miasto nie pamięta o swych wielkich mężach przeszłości. Domy nie były dekorowane flagami, ruch zwykły na ulicach. O uroczystości przypominały, nieliczne zre-

szta, stoliki Ligi Kobiet, sprzedające popularne broszury o Dąbrowskim i „Wiarusa“ № 16.

Oficjalnie obchodziła rocznicę stolica przez nabożeństwo w katedrze, posiedzenie uroczyste w Radzie Miejskiej i odsłonięcie tablicy pamiątkowej na gmachu Ratusza.

O g. 11-ej rano w katedrze odprawił nabożeństwo ks. arcybiskup Kakowski w asyście liczego duchowieństwa. Na chórze orkiestra opery warszawskiej pod dyr. Wallek-Walewskiego i chór kościelny wykonały odpowiednie utwory. Kościół przepelniony był delegacjami instytucji i wiernymi. Obecni byli członkowie Rady Regencyjnej, Rządu i Wojska. Przed katedrą ustawiła się kompania honorowa z kpt. Giżyckim na czele. W czasie podniesienia orkiestra wojskowa odegrała „Jeszcze nie zginęła.“ kompania sprezentowała broń.

W sali posiedzeń Rady do zebranych przedstawiciele Rządu z Radą Regencyjną na czele, Wojska, instytucji naukowych, społecznych i młodzieży przemówił prezes Rady p. Baliński, podkreślając zasługi twórcy Legionów i kończąc okrzykiem: „Cześć Dąbrowskiemu!“ Późem Rada Miejska przez aklamację nadała placowi Zielonemu miano placu gen. J. H. Dąbrowskiego. Na sali obecni byli członkowie rodziny generała.

O godz. 6-ej pp. uczestnicy zebrania w Radzie m. znaleźli się na placu, gdzie wśród tłumnie zebranej publiczności odsłonięto tablicę z napisem: „W setną rocznicę zgonu gen. Jana Henryka Dąbrowskiego 6 czerwca 1918 r.“

W czasie odsłonięcia tablicy pluton honorowy kompanii garnizonowej sprezentował broń, orkiestra zagrała „Jeszcze Polska nie zginęła“. Tłum zbożnie odkrył głowy. Przemawiali krótko o Dąbrowskim, prof. Smoleński i inż. Drzewiecki. Chóry i orkiestra teatru Wielkiego wykonały wspólnie na balkonie teatru Mazurka i Boże coś Polskę. Zakończyła uroczystość dziarska defilada plutonu honorowego. Całość wywarła na obecnych wrażenie podniosłe.

Rezultaty czwartej fazy wielkiej ofensywy wojsk niemieckich na Zachodzie.

Jak donosi „*The Continental Times*“, wychodzący w Berlinie, w pierwszym tygodniu czerwca r. b. niemieckie wojska zdobyły około 3,000 klm. kwadr. między rzekami Marną i Aisnę, rolniczego terytorium francuskiego. Stanowi to z górą 200 wiejskich gmin francuskich i 15 miasteczek. Przeszło 75,000 mieszkańców uciekło z ustępującymi wojskami francusko-angielskimi, na miejscu pozostała zaledwie $\frac{1}{10}$ część ludności francuskiej.

Ubezpieczenia żołnierzy.

Według statystyki newjorskiego „Financial Chronicle“, w miejscowym biurze ubezpieczeń wojennych do dn. 6 marca b. r. wpłynęło 1.392.324 podań o ubezpieczenie od żołnierzy, marynarzy i lotników na sumę 11.253.448.500 dolarów.

Przeciętna suma ubezpieczeń wynosi 8085 dolarów. Normy ubezpieczenia, zatwierdzonego przez rząd, wynoszą od 100—1000 dolarów.

Wojenne to przedsiębiorstwo, założone przed pięciu zaledwie miesiącami, stało się największą instytucją na całej kuli ziemskiej.

SPIS TREŚCI: W. Tokarz: Rozkazy księcia Józefa.—Raj-nold Suchodolski: Śpiew do ataku.—W. Drojowski: Wiadomości z taktyki piechoty dla żołnierzy.—Zwierzęta na wojnie w obrębie ognia działowego.—Ks. Hortyński: Surogaty.—Marceli Dupont: Wywiad przed bitwą nad Marną.—Życie żołnierskie: Nominacja. Zwolnienie. Przydziały. Noszenie czapki. Pamięci poległych pod Rokitną. O pomoc dla rodzin żołnierzy. Prośby o uwalnianie jeńców. Powrót inwalidów.—Co się dzieje z oficerami i szeregowymi z Polskiego Korpusu Posiłkowego? Pomnik Kościuszki. Powracający jeńcy niemieccy. Proces oficerów i szeregowych b. Korpusu Posiłkowego w Marmarosch-Szigeth. Obchód stoletniej rocznicy zgonu gen. Henryka Dąbrowskiego w oddziałach W. P. w Warszawie. Rocznicą gen. Dąbrowskiego. Rezultaty czwartej fazy wielkiej ofensywy wojsk niemieckich na Zachodzie. Ubezpieczenia żołnierzy.

Redaktor: Dr. W. TOKARZ.

„Wiarius“ Pismo dla żołnierzy polskich, wydawane przez Komisję Wojskową, wychodzi w Warszawie 3 razy miesięcznie: 1-go, 10-go i 20-go. Adres Redakcyi: Komisya Wojskowa, Królewska 35. Adres Administracyi: Księgarnia W. Jakowickiego, Bracka 23. Skrzynka pocztowa Nr 22.

Prenumerata wraz z przesyłką pocztową wynosi: miesięcznie 1.20 mk. (1.80 k.), kwartalnie 3 mk. (5 k.), rocznie 12 mk. (20 k.).

Dla wojskowych prenumerata (tylko przez administracyę) zniżona: miesięcznie 60 fen. (90 hal.), kwartalnie 1.50 mk. (2 50 k.), rocznie 6 mk. (10 k.).

Cena pojedynczego zeszytu: 40 fen. (60 hal.), dla wojskowych (tylko w administracyi) 20 fen. (30 hal.).

Geprüft und freigegeben durch die Kais. Deutsche Presseabteilung Warschau, d. 27.V. 1918.

Druk L. Biłłńskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.